

## Hartwiżanka

Obecność nieobecnego poety. Czym ona się mierzy? Jego zainteresowaniem osobistym? Miejscem w twórczości zajmowanym przez miejsce geograficzne? Częstotliwością odwiedzin? Zawodzi teoria. W wypadku Julii Hartwig zachodzi ten fenomen, że ani zbyt często Lublina nie odwiedza, ani go zbyt wiele w jej pisarstwie nie znajdziemy, a tego nazwiska nie sposób odłączyć od zjawisk zawartych w określeniu „poetycki Lublin”. Zagadnienie dla jakiejś neurologii odczuć literackich. Bo przecież owa „lubelskość” Hartwiżanki nie wynika z chęci „rewindykowania” jej przez nasze miasto, ani z faktu, że biografia poetki rzeczywiście zawiera Gimnazjum Unii Lubelskiej jako jej szkołę średnią, ulicę Narutowicza jako jej miejsce zamieszkania.

„Lubelski” - mówimy o Czechowiczu. No tak. Tu przecież trzydzieści lat (z małym epizodem słobódkowskim) mieszkał. Tu pracował jako korektor, dziennikarz, nauczyciel. A przede wszystkim - o Lublinie pisał. „Stare kamienie”(osobliwe w jednym tomie sąsiedztwo dwu nie tylko różnych, ale i sprzecznych poetyk, jako że między Czechowiczem a Arnsztajnową można położyć jedno jedyne iunctim: znajomość osobistą), cykl „prowincja noc”. (Dodajmy nawiasem „na wieży furgotał blaszany kogucik to wers zaczynający jeden z najślabszych wierszy Czechowicza, ale zgoda, że jak ułał pasuje na okoliczność honorową). Jeżeli Czechowiczowi przypięto- trafną zresztą - etykietkę „poeta prowincji” to właśnie dlatego, że prowincjonalny wówczas Lublin walnie się do tego przyczynił, takiej poetyckiej tonacji rezonans stwarzając.

Inaczej z Julią Hartwig. Widzenie jej osoby w związku z naszym miastem wynika stąd, że ów pierwszy, zapowiadający okres jej młodości tu upłynął, wszystko następne wówczas karząc osnuć mgłą niesprawdzalnych przewidywań. Historia zdecydowała inaczej i Hartwiżanka wyjechała, ale Lublin "nie przyjął tego do wiadomości". Jej tutejszą nieobecność uznał za stan tymczasowy. Więc co najwyżej możemy mówić, że absencja się co nieco przeciąga.

Wychodziło kiedyś - lata trzydzieste - w Lublinie młodzieżowe pismo „W słońce”. (Powinien by się znaleźć ktoś, kto by o tym napisał jakiś artykuł). Raz na zebranie redakcyjne przyszła czternastoletnia dziewczynka. Nazywała się Julia Hartwig. Sensacja. Czternastoletnia i już autorka. Wprawdzie "redaktorzy" mieli co najwyżej po dwa lata więcej, ale w tym wieku różnica dwu lat to dużo. Trochę dziwiło, trochę nadawało smaku oryginalności, że na zebranie redakcyjne przyszło "dziecko". I zaczęło się. Przyjaźnie, lektury, spaceru, strofy, asonanse, zachwyty i krytycyzmy. Bo poezja wówczas to było wszystko. Wybór wzoru życia i postępowania, nie tylko dziedziny zainteresowań. A dla Julii wejście w „intelektualny pejzaż” Lublina tak trwałe, że do dzisiejszego dnia łudzące nieprzerwaną ciągłością. W tym wypadku można mówić o „obecności z daleka”.

Zaraz po wojnie Hartwiżanka nie podjęła żadnej pracy etatowej, za to jej mieszkanie było

miejszem ciągłych spotkań młodych lubliniaków: Anny Kamieńskiej, Jerzego Pleśniarowicza i Zygmunta Kałużyńskiego zaaferowanych nadmiarem problemów, które wybuchły wraz z wyzwoleniem i domagały się rozwiązania. Jakich problemów? W Lublinie zrobiło się gwarno i rojno jak na dworcu znaleźli się tu nie tylko poeci-kościuszkowcy przybyli wraz z ofensywą ze wschodu ale również ci wszyscy skądinąd których tu objął front wyzwoleńczy, więc „grupa lubelska” nie istniejąc poprzednio, wówczas została niejako wywołana warunkami otoczenia. Zachodziła również różnica poetek. "Grupa" znajdowała się wyraźnie na przedłużeniu dwudziestolecia międzywojennego, tam przecież tkwiąc własnymi początkami, więc różnica w stosunku do pisarzy dysponujących doświadczeniem nie okupacyjnym, lecz wojennym była wyraźna. Co zresztą artystycznie wcale nie świadczy na niekorzyść lublinian. Powtórzenie owej prolongaty nastąpiło koło roku 1956, przynosząc wiele ciekawych rezultatów nie tylko w poezji, ale w prozie.

W serii wieczorów autorskich w Muzeum Czechowicza (tak udatnie organizowanych przez dyr. Józefa Wiesława Ziębę) Julia Hartwig spotkała się z czytelnikami dnia 18 maja 1978 roku. Czy przedtem spotkała się z czternastoletnią dziewczynką? Jeżeli tak, co miały sobie do powiedzenia? Bo oważ nosicielka warkoczyków już wówczas rezonerka i sawantka z pewnością nie pozostała bez słowa wobec autorki „Pożegnań”, „Czuwania”, monografii o Apollinairze i Nervalu. Nie tylko Święty Augustyn miał swoje „soliloquia”. Co więc z dawnych jesieni, zapatrzeń, szelestów gazety czytanej pod pokojową lampą weszło do poezji dorosłej Hartwizanki? Chyba nie mało.

I z pewnością nie będzie ujmy jeśli powiemy, że ta poezja stylistycznie nie ewoluuje. To samo da się powiedzieć o wierszu Leśmiana, Jasnorzewskiej-Pawlikowskiej, wspomnianego już Czechowicza. Na odwrót: próbowanie wielu konwencji mające rzekomo doprowadzić do "wzbogacenia stylistycznego wachlarza" świadczy o niezdecydowaniu, a nawet braku aprobaty dla raz obranego kierunku. "Poznać pióro" - to kwalifikacja dodatnia. Tylko tak ma się je własne.

A jak by je scharakteryzować? Potrzeba mówić o zauroczeniu urodą zwykłego życia, rzeczy drobnych, nie bez wyczulenia na ogólne zagadnienia ludzkiej egzystencji. Ale cóż z tego, że potrzeba. Kropnęliśmy w ten sposób nawet nie jeszcze jeden, ale ten sam kanoniczny banał możliwy do przyszcicia każdej poezji. Niektóre omówienia nawet na czymś takim poprzestają. Niech im pójdzie na zdrowie. Jeśli wiersz ma być definicją świata, jakże uporać się z krytyczno-literacką formułą jako definicją wiersza? To pierwsze zawsze będzie obszerniejsze. Więc wynikało by z tego, że krytyka jest niemożliwa? Owszem, bywały takie opinie. Że najlepszą krytyką jest przedłużenie, podchwycenie stylu. Pastisz. Świadcstwo wiernego przyjęcia.

Poeta pisze świat, pisze siebie. Oba zjawiska dzieją się w czasie. Postanowienie nadążenia im jest czymś w rodzaju heroizmu. Nie bez kozery poeci sami akcentują pojęcia takie jak „międzysłowie”, „śródsłowie”, a nawet „metasłowo”. Bo wiedzą, że niezależnie od celności, od- paradoksie - zupełności wyrazu świat zawsze wyłoni coś, czego może dotknąć tylko zdumienie.